

Piotr Zaczarany

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

21

Oktawiusz słuchał z największym zdziwieniem. Pewność siebie i zuchwałość Lopeza zaskanawiała go i pomimo woli imponowała.

— Nazajutrz po zaproponowaniu Frankowi małżeństwa ze swoją córką — ciągnął dalej Lopez — pan de Compans udał się do pana i uczynił panu propozycję, którą ze wszelkich względów powinien pan być przyjąć.

Jaką propozycję? — zapytał Oktawiusz.

— Pan de Compans ofiarował panu milion franków, które powinny być panu pomocą do rozwinięcia własnych interesów i utworzenia sobie poważnej finansowej kariery.

— A więc?

— A więc, pan się zawahał; wołał pan iść za głosem Sylwii, mówiącej panu o miłości, szczęściu i zapomniał pan o wszystkim, aby myśleć tylko o przygotowaniu ucieczki, która ustaloną jest na noc dzisiejszą. Czy nie dobrze jestem poinformowany, kochany panie?

Oktawiusz drgnął silnie i już otwierał usta, aby coś odpowiedzieć, kiedy Lopez powstrzymał go energicznym ruchem ręki.

— Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego! — rzekł spokojnie — Niech mnie pan wysłucha do końca, a potem osądzi pan sam, co mu dalej czynić wypada.

Zapanowało krótkie milczenie. Lekki rumieniec wybiegł na twarz Oktawiusza, serce jego biło niespokojnie w pie siach. Nie mogąc opłonić zdenerwowania, niecierpliwym ruchem uderzał nogą o posadzkę.

— Ja wcale nie potępiam myśli porwania panny Sylwii de Compans! — odezwał się w końcu Lopez — Ta ucieczka jest dobrym środkiem do zerwania projektowanego małżeństwa i to pod tym względem tylko pochwalić mogę, że się pan na to zdecydował. Ale proszę przypuścić rzecz podobną. Znajduje się pan naprzykład w Szwajcarii, gdzie spędza pan pierwsze dni miodowego miesiąca i nagle, bez żadnego przygotowania, dochodzi do pana wiadomość, że pan de Compans zawiesił wszystkie swoje wypłaty i jest kompletnie zrujnowany. No i cóż panie Oktawiuszu? Jakże wówczas zachowałby się pan wobec panny Sylwii, którą pan skompromitował i zniesławiał na zawsze, a która powodowana ślepą miłością zawierzyła panu, jak samej sobie. Zdaże mi się, że pomimo wszystko, byłby pan zmuszony się z nią ożenić, nieprawdaż?

Podczas kiedy Lopez mówił Oktawiusz uczuł zimny pot występujący mu na czole: śmiertelna bladość oblekała jego twarz, a spojrzenie jego rozgorączkowane i pytające zatrzymało się na twarzy mówiącego.

Ale prędko otrząsnął się z tego wrażenia. Ironiczny uśmiech prawie natychmiast ukazał się na jego ustach i wzruszając ramionami, wyrzekł pogardliwie:

— Ta uwaga byłaby godną rozstrzaśnienia, gdyby nie pochodziła od przyjaciela mojego rywala. Ale dlaczegoż pan pragnie, abym się obawiał katastrofy, której on sam zdaje się wcale nie lękać i jakież są powody, dla których mógłbym powątpiewać o solidności sytuacji materialnej pana de Compans, kiedy znowu, o ile się nie mylę, pan sam nie wątpi ani na chwilę. Lopez przytaknął ruchem głowy.

— Rzeczywiście — odparł — uwaga pana jest słuszna, chociaż pomylił się pan co do znaczenia moich słów. Sytuację finansową pana de Compans znam doskonale. Jest bardzo pewna. Posiada przeszedł trzy miliony franków i nie sądzę, aby jako przewidziana katastrofa mogła go z nich obdebrać.

— A więc? — zawołał Oktawiusz Gaudin, patrząc triumfująco w twarz Lopeza.

— A jednak pomimo to, panie Gaudin, czuję się w obowiązku ostrzedz pana, właściwie poradzić, abyś się powstrzymał ze swoimi zamiarami.

— Doprawdy?

— Niech pan chociaż zaczeka dni kilka.

— Takie jest pana zdanie?

— Daje panu na to moje słowo honoru.

— I podczas kiedy ja czekać będę — zaśmiał

się ironicznie młody człowiek — pana protegowany poślubi moją narzeczoną, czy nie tak?

— Kto to panu powiedział?

— Więc nie?

— Zdaże mi się, że się wyrażam dosyć jasno! — odparł zimno Lopez.

— A przecież dzisiaj wieczorem pan de Compans przedstawia swoim gościom doktora Franka jako narzeczonego panny Sylwii.

— Rzeczywiście.

— Jest to krok potwierdzający tylko moje przypuszczenia. Takie publiczne przedstawienie równa się podpisowi kontraktu małżeństwa.

— Jeżeli ktoś chce tak to sobie tłumaczyć! — odparł Lopez spokojnie.

— Czy więc pan sądzi, że doktor Frank może lojalnie przyjąć podobną sytuację, jaka mieć będzie miejsce dzisiaj wieczorem, ze stanowczą wolą odrzucenia następnie układów zawartych z panem de Compans?

Lopez ujął rękę Oktawiusza i wpatrzył się w niego głębokim spojrzeniem.

— Panie Gaudin — rzekł — nie mogę w żaden sposób powiedzieć panu obecnie nic więcej i żałuję tego mocno. Winienem być wyjawić część prawdy i tę wyjawilem już panu. Teraz jest pan wolny, nie mam nic więcej do dodania i uczyni pan to, co sam uzna za stosowne. Ale powtarzam panu raz jeszcze — dodał ściśkając serdecznie rękę młodego człowieka — niech się pan dobrze zastanowi nad tem, co pan zamierza uczynić i niech pan nie lekceważy rad, jakie panu dałem dzisiaj.

Oktawiusz powstał.

— Dobrze! — wyrzekł zimnym tonem — Przekonam się jutro, panie Lopez, czy słuszność była po pana stronie. Ale do tego czasu nie zmienię nic w swoich planach.

— Jak się panu podoba.

— Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan doktor Frank nie uchylił się przed moim żądaniem, jeżeli za dni kilka będę chciał się z nim widzieć?

— Ależ oczywiście, obiecuję to panu.

— Może mi pan to poręczyć słowem honoru? — nalegał młody człowiek.

— Mojem słowem i jego również! — odparł poważnie don Lopez.

— To mi wystarczy. A więc do jutra, dobrze?

— Do jutra.

Oktawiusz pożegnał don Lopeza i wyszedł. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, kiedy Lopez pobiegł do Franka, oczekującego w drugim pokoju na rezultat tej rozmowy.

— No i cóż? — zapytał Frank, ujrawszy przyjaciela.

— Wszystko jest na najlepszej drodze! — odparł Lopez z ożywieniem — Mamy czas do jutra.

— Czy pan jest pewny, że uda się panu dzisiejszej nocy?

— Tak, jestem tego pewny.

— A więc wychodzimy teraz, czy tak?

— Natychmiast! Nie mamy, mój kochany doktorze, ani chwili do stracenia.

Powóz Lopeza oczekiwał przed domem i sztanget otrzymawszy rozkaz ruszył wyciągniętym galopem, drogą prowadzącą do willi Bierres.

Podczas drogi obydwa towarzysze, każdy zajęty swoimi myślami, nie odzywali się wcale do siebie.

Kiedy stanęli na miejscu, zabawa wrzała w całej pełni. Salony przepelnione były wykwinatą publicznością, na wszystkich twarzach jaśniała wesołość i zadowolenie. Bankier de Compans umiał podejmować i olśnić swoich gości.

Oczekiwano tylko na Franka. Kiedy służący oznajmił jego przybycie, ruch jeszcze większy uczynił się na sali.

Historia jego małżeństwa z córką bankiera wydawała się dotąd bałką dla wszystkich i ciekawość, więcej może, niż nadzieja zabawy, zgromadziła tu ten tłum żądny nowej sensacji i wzruszeń.

Nikt nie chciał wierzyć, aby podobny związek mógł być traktowany na serio przez barona. Wydawało się wszystkim rzeczą nieprawdopodobną i romantyczną, aby bankier de Compans oddawał córkę swoją człowiekowi nieznanemu jeszcze wczoraj, bez majątku i bliższej rodziny.

Kiedy Frank wszedł do salonu, wszystkie oczy z ciekawością zwróciły się na niego.

Pierwsze wrażenie, jakie uczynił, było bardzo dodatnie.

Frank był blady i wzruszenie malowało się na jego twarzy, a przytem tyle miał w sobie wrodzonej dystynkcji i prostoty, że od razu pod-

bił wszystkie serca kobiet i zyskał sympatię mężczyzn, zgromadzonych u pana de Compans.

Bankier żywo podszedł ku niemu, ujął go za rękę i przyprowadził do Sylwii.

Wszyscy odczuli, że ta chwila była decydująca i spojrzenia rozciekawionych kobiet biegły rozgorączkowane ku młodej parze.

Sylwia również była trochę blada ale siłą woli, którejby się nie powstydział najsilniejszy mężczyzna, potrafiła uśmiechnąć się do Franka i powitać go prawie serdecznie. Najpoważniejsza bez chwili przeszła w naturalny sposób bez żadnej niespodzianki.

Pan de Compans czuł się bardzo zadowolonym i szczęśliwym, twarz jego błyszczała radością i uśmiech tryumfu zawił na jego ustach.

— Czy jesteś sam? — zapytał po chwili Franka, badawczym spojrzeniem obejmując zgromadzonych, którzy grupami przesuwali się po sali.

— Nie — odpowiedział młody człowiek. — Jest ze mną mój przyjaciel Lopez.

— Czy będę się mógł z nim widzieć? — Za kilka minut.

Pan de Compans uśmiechnął się życzliwie do Franka i pozostawił narzeczonego samych. Sam zaś udał się za poszukiwaniem towarzysza swojego przyszłego zięcia.

Lopez miał ważne powody towarzysząc Frankowi na tę zabawę. Zaledwie powóz, przywołujący ich, zatrzymał się przed jasno oświetloną willą bankiera, opuścił on przyjaciela i szybkim krokiem skierował się do małego domku, znajdującego się na samym końcu parku, zamieszkalego oddawna przez Paskala.

— Czy prędko zobaczysz pana? — zapytał Frank, rozchodząc się z Lopezem.

— Za kilka minut.

— Rola, którą gram tu dzisiaj, ciąży mi niewymownie — wyrzekł Frank zmęczonym głosem — i chciałbym jak najprędzej zrzucić ją z siebie.

— Bądź cierpliwym, Franku. Tej nocy wszystko zakończyć się musi — odpowiedział Lopez, ściśkając ze wzruszeniem jego rękę.

— A więc na pewno zobaczę pana? — nalegał jeszcze Frank niespokojnie.

— Jeżeli po upływie godziny nie zobaczysz mnie w salonach, postaraj się uwolnić w taki sposób, aby nikt nie zauważył twojego wyjścia i przyjdź do mnie. Wiesz gdzie masz mnie szukać.

W kilka minut Lopez stanął przed domkiem, w którym mieszkał Paskal.

Domek ten niegdyś musiał mieć lepszy i wytworniejszy wygląd i służył mieszkańcom willi Bierre, jako miejsce wypoczynku i ucieczki przed lenimi upałami. Ukryty był bowiem cały w cieniu wielkich drzew, otaczających go dookoła.

Tam mieszkał Paskal od owej tragicznej nocy, podczas której zbrodnia spełniona została.

Przed chwilą jeszcze odwiedził domek służącego bankiera de Compans, z którym miał dosyć długą rozmowę. Bankier wytłumaczył Paskalowi, że nareszcie będą uwolnieni na zawsze od wszelkich niepokojów i pod wpływem tej dobrej wiadomości służący pozwolił sobie na obfity, niż zazwyczaj obiad, w którym dużą rolę grało stare, mocne wino, do tego stopnia, że kiedy wstał od stołu, nogi dosyć niepewnie chwiały się pod nim, a umysł jego był mocno przyćmiony.

Miał jeszcze jednak na tyle przytomności, że rozpałł w jednym z pokoi dolnych dobry ogień na kominku, poczem usiadł wygodnie w obszernym fotelu i paląc fajkę, oddał się blagim rozmyśleniom. Paskal teraz był zupełnie szczęśliwy. Wszystkie niepokojące myśli, dręczące go od lat tyłu, rozwiały się daleko pod wpływem zapewnienia, jakie mu dał pan de Compans i teraz mógł już bez troski marzyć o przyszłości, przedstawiającej mu się w różowych kolorach. O tem, że przed niedawnym czasem zamordował własnego brata, ojca Andrzeja, nie myślał wcale.

Odpoczywając tak w fotelu i grzejąc nogi przy słym ogniu kominka, Paskal nie był wcale podobny do dawnego ponurego i zawsze podejrzliwego człowieka. Duża twarz jego rozjaśniła się, bruzdy, przecinające czoło zmniejszyły, a w oczach błyszczał blask tryumfu i zadowolenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)